

Sławomir Tomasz Roch
rycerzniebieski@wp.pl

13. 05. 2003 r. Zamość
Rok Różańca Świętego Święto Matki Bożej Fatimskiej

„[...] W tym czasie czterech Ukraińców wytoczyło duży karabin, to było coś na kółkach, z dużą lufą, długą na dwa metry, a następnie ustawili na placu, dosłownie naprzeciwko nas, lufą wprost do naszego, długiego rzędu ludzi. Po chwili wystrzelili z tego karabinu, jakby na pokaz. Może chcieli nas w ten sposób jeszcze bardziej przestraszyć, kosztem „Polaczków” nieco się zabawić, albo po prostu próbowali broń, czy w odpowiednim momencie się nie zatnie. Po chwili jeden z tych Ukraińców przejechał tą straszną lufą karabinową, po całym naszym rzędzie ludzi, zupełnie tak, jak by do nas celował. Pamiętam, że robił to dokładnie i powoli, niejako wcelowywał się w nas, a przecież patrzyły na to takie dzieci, jak ja i wiele młodszych. To było potworne, naprawdę trudno wyrazić, co człowiek czuje w takim momencie, przecież ta długa lufa wymierzona wprost naszych serc i twarzy, właściwie w każdej chwili, mogła zacząć wyrzucać w naszym kierunku ukraińskie „pocałunki, kwiaty i prezenty”, na naszą ostatnią drogę. W tym momencie ludzie i my wszyscy byliśmy już przekonani, że zaraz przyjdzie po nas śmierć, aby zabrać nas z tego bez wątpienia leż padółu. Wciąż było słychać płacz i potężniejącą z każdą chwilą modlitwę. Mój tato zdjął czapkę, a ja bardzo błada, kurczowo trzymałam się spódnicy mojej mamy. Ta katorga trwała przynajmniej kilka minut. [...] Kazimiera Kowalczyk z d. Czerwieniec

WSPOMNIENIA KAZIMIERY KOWALCZYK Z D. CZERWIENIEC Z KOLONII KARCZUNEK WOŁYŃSKI W POW. WŁODZIMIERZ WOŁYŃSKI NAWOŁYNIU 1940 - 1944

Nazywam się Kazimiera Kowalczyk z domu Czerwieniec, mieszkam obecnie w Siedliskach nr 104, gmina Zamość, powiat Zamość, woj. Lubelskie. Urodziłam się 28 kwietnia 1935 r. w Niedzieliskach na Zamojszczyźnie. Jeszcze tego samego roku moi rodzice Magdalena i Kazimierz Czerwieniec sprzedali swoje gospodarstwo i wyjechali na Wołyń. Tam kupili duże gospodarstwo 12 hektarowe z domem 7 – izbowym oraz innymi niezbędnymi budynkami gospodarczymi, w tym: stodołą, oborą, chlewnią, stajnią i innymi spichrzami. Nasza rodzina była i jest polska, a zamieszkaliśmy pośród Polaków i Ukraińców w kolonii Karczunek Wołyński, gm. Uściług, powiat Włodzimierz Wołyński. Nasza kolonia oddalona była tylko 3 km od Uściługa, mieszkało w niej około 15 rodzin polskich i kilka ukraińskich. Nie przypominam sobie, abym chodziła tam do szkoły, byłam za mała, a potem wybuchła już II wojna światowa i gdy zrobiło się niebezpiecznie rodzice nigdzie mnie samą nie puszczały. W tym czasie nie przypominam sobie żadnego przykładu wrogiego odnoszenia się Ukraińców do nas Polaków, przeciwnie żyliśmy jak Pan Bóg przykazał, zgodnie i bez konfliktów, bywało nie raz, że wspólnie dużo się modliliśmy. W tym czasie normalną sytuacją było małżeństwo mieszane polsko-ukraińskie i nikt właściwie się temu nie dziwił.

W najbliższej rodzinie wszyscy byliśmy i jesteśmy wyznania rzymsko-katolickiego, więc do kościoła chodziliśmy przez lasek na drugą wieś około 5 km, jednak dziś nie pamiętam już jak się nazywała. Nasz dom stał na wzgórzu, a w koło posadzony był duży piękny sad owocowy, w którym było dużo czereśni i jabłoni. Było też dużo malin, jako dziecko czułam się tam bardzo szczęśliwa. Na naszym podwórzu była studnia, przy niej rosło drzewko czeremcha, które latem niezwykle piękny rozsiewało zapach, a w dole była sadzawka w której radośnie taplały się zwykle gęsi. Było u nas naprawdę wesoło, moje starsze siostry: Marianna i Apolonia oraz brat Stanisław, Zdzisław i Marian, którzy byli starsi ode mnie mieli już wtedy wielu kolegów i koleżanki, którzy ich często odwiedzali i urządzali przy tym najróżniejsze zabawy.

Pamiętam jak do naszej kolonii przyszły wojska sowieckie, wydaje mi się, że to było już późną jesienią, żołnierzy było dużo, może nawet 100. Zajęli prawie cały nasz dom dla siebie, a nam zostawili tylko jeden pokój i kuchnię, zaś duży pokój zamienili na zbrojownię, w której na ścianach rzędami wisiały ich karabiny. Sowieci od samego początku byli wobec nas dość przyjaźni, dla przykładu: radzili mojemu tacie jako kułakowi, aby tak jak większość miejscowych ludzi zapisał się do kołchozu. Była wtedy mała szansa, że uniknęlibyśmy wywózki na Syberię, znajomy oficer sowiecki mówił tak do niego: „Czerwieniec ty tutaj nie

wygrasz, ty się zapisz do kolchozu, bo ty nie wiesz co to znaczy ruski rząd! Jak się zgodzisz sam, to będziesz mógł tu jeszcze zostać i dostaniesz lepszą posesję w kolchozie!" Przebieg tej rozmowy słyszałam osobiście, a poza tym rodzice często o tym mówili w naszym domu. Jednak pomimo tego ostrzeżenia, nasz tato był uparty i nie zgadzał się na to. Pamiętam, że właśnie od tego czasu bardzo często przychodziło do nas wezwanie, aby płacić coraz to nowe podatki, dochodziło nawet do tego, że ledwie zapłaciliśmy jeden już musieliśmy płacić następny. Taka to była wolność wyboru w Związku Radzieckim, niszczone nas systematycznie, aż do upadku. Na początek sprzedaliśmy nasze bydło, potem wyprzedawaliśmy już wszystko, co przedstawiało sobą jakąkolwiek wartość, doszło nawet do tego, że sprzedaliśmy naszą bryczkę, a i tak zabrali nam z domu piękny duży zegar ścienny za kolejne podatki. Moja mama wtedy płakała, bo to był bardzo piękny zegar. W sowieckim raju w krótkim czasie, z ludzi dość zamożnych, szybko zostaliśmy dosłownie zrujnowani. W końcu tato Kazimierz widząc, że nie ma już dosłownie za co żyć, poddał się i napisał podanie do kolchozu. Oficer sowiecki jakiś Lejtnant, wstawił się za tatem i łaskawie przyjęto nas do kolchozu, ponieważ tato był wcześniej oporny nowym formom gospodarowania, otrzymał tylko funkcję pastucha i pasł konie. Upór mojego taty sprowadził na nas jeszcze inne poważne niebezpieczeństwo, Sowieci postanowili bowiem wywieść całą naszą rodzinę na Syberię. W tym celu przysłali do nas, do domu specjalne papiery, w których nas o tym szczęściu informowali, podając nawet konkretny termin wywózki. Bardzo dobrze pamiętam te dni, gdy rodzice gorączkowo szykowali się do długiej i strasznej drogi, robili w tym czasie pakunki oraz suszyli bardzo duże ilości chleba, popularne suchary i pakowali w worki.

CZERWIEC 1941 ROK

Pamiętam, że gdy już mieli nas wywieść, to był już któryś z najbliższych dni po niedzieli, nieoczekiwanie Niemcy Hitlerowskie napadły na Związek Radziecki. Tego dnia siedziałam z mamą i moim rodzeństwem w pokoju, nagle wybuchła bomba obok naszego domu, a druga za stodołą. Bardzo się wszyscy przestraszyliśmy i zaraz uciekliśmy do piwnicy pod domem. W tym czasie w naszym domu nie było już żołnierzy sowieckich, a ponieważ byli jeszcze poprzedniego dnia, sądzę że opuścili nas nocą i przeszli do dużego bunkra, który znajdował się niedaleko naszego domu, tylko około 400 m. Sowieci te potężne bunkry nazywali „toczki”, w naszej okolicy był tylko jeden taki bunkier. Gdy tak siedzieliśmy w piwnicy, do naszego domu wpadł nasz tato z łąki, złapał jednego konia szybko powsadzał nas na wóz i po chwili wraz z innymi ludźmi uciekaliśmy na łąki, które w naszych stronach nazywano: Piatydnie. Wydaje mi się, że to były te łąki, ale już pewności dziś nie mam. Gdy tam przybyliśmy, było już tam bardzo wielu ludzi, a obok Niemcy prowadzili złapanych jeńców sowieckich, dokąd ich prowadzili nie wiem. Na tych łąkach byliśmy krótko, czekaliśmy aż przejdzie front, a potem spokojnie wróciliśmy do naszego domu. Znowu zaczęło się normalne życie, a następne miesiące były bardzo spokojne. Nikt nas w tym czasie nie atakował, nikt nas nie prześladował, dlatego nie przypominam sobie, aby w tym czasie Ukraińcy wyrządzili nam jakąś krzywdę. Nie wyzywali nas i nie śpiewali wrogich Polakom piosenek. Wydaje mi się jednak, że sytuacja zaczęła ulegać gwałtownemu pogorszeniu od lutego 1943 r., mniej więcej bowiem od tego czasu Polacy w naszej kolonii Karczunek Wołyński zaczęli się bać nocować w swoich domach.

Pamiętam, że w zimie nie wiem jednak dokładnie w którym roku, **do naszego domu przyszło powiadomienie, że moje dwie starsze siostry mają pojechać na roboty do Niemiec. Zarządzenie było przymusowe, a tym którzy mieli odwagę się sprzeciwić groziła za to kara śmierci.** Takie pisma przychodziły do bardzo wielu rodzin polskich w naszej kolonii i w naszej okolicy. Dlatego wszędzie był płacz i lament z powodu odjazdu dzieci i naszej najlepszej często młodzieży. Także mój tato płakał i mówił przy tym: „*Już ich więcej nie zobaczę!*” I rzeczywiście Apolonia lat ok. 15 wtedy, więcej już tata nie zobaczyła, chociaż sama szczęśliwie przeżyła i wróciła do wolnej Polski, była już jednak chora i szybko umarła. Przed śmiercią zdążyła mi jeszcze osobiście opowiedzieć, że Niemcy **bardzo źle się z**

nimi obchodzili, źle ich traktowali. Mścili się na pracujących tam przymusowo Polakach i mówili: „*Jak przyjechałeś na ochotnika, to teraz rób i nie licz na nic więcej!*” Starsza siostra wróciła ze stacji kolejowej, bo się za nią wstawili ludzie, była bowiem nauczycielką.

W SŁONECZNEJ ŚWIATŁOŚCI

To było chyba latem 1943 r.! Pamiętam bardzo dobrze, że moja najstarsza siostra Maria, zauważyła na niebieskim, pięknym niebie, duży napis białymi literami. Było właśnie bezchmurne południe i świeciło piękne słońce, a napis umieszczony był pod słońcem, które świeciło nad nim. Kiedy więc po chwili, wszyscy już z wielkim przejęciem, patrzyliśmy na te litery, to widzieliśmy je w słonecznej światłości. Napis był bardzo wyraźny, Maria zaczęła więc czytać z wielkim zainteresowaniem. W tym czasie moja mama i pozostałe moje rodzeństwo w tym także ja, wybiegliśmy na schody naszego domu i widząc ten napis, niektórzy zaczęli głośno płakać i lamentować. To musiało przeszkodzić naszej siostrze, musiało ją rozproszyć tak, że nie zdążyła przeczytać całego napisu i nie zrozumiała o co chodziło w tej informacji, bowiem po chwili napis znikł tak nagle jakby ktoś gąbką starł tablicę szkolną. Moja siostra miała potem do nas wszystkich pretensje z tego powodu i mówiła tak: „*Czegoście tak lamentowali, byłabym wszystko przeczytała i wam potem opowiedziała, a tak ja nie wiem sama do końca, o co chodziło i wy też się teraz nie dowiecie.*” Nie wszyscy jednak widzieli ten napis, dla przykładu nasza sąsiadka pani Miszczakowa, która była Polką. **Ja osobiście też bardzo dobrze widziałam ten napis i potwierdzam, że było to dwie duże liniki, a litery wyrazów były grube. Wydaje mi się także, że litery były drukowane. Nie pamiętam jednak w jakim języku był napis i nie zdołałam też poznać treści zawartej w tych zdaniach!** Następnego dnia ponownie wszyscy obserwowaliśmy niebo, mieliśmy bowiem nadzieję, że to zjawisko, że ten ZNAK na niebie się powtórzy, ale niestety już więcej takich napisów nie zauważyliśmy. Maria miała wtedy około 20 lat, skończone polskie gimnazjum przedwojenne, tak że uczyła w szkole w Uściługu, ale nie wiem czy znała wtedy jakiś obcy język.

INNE ZNAKI NA NIEBIE

Inne znaki, które pojawiły się na niebie przed rzezią w naszej wiosce i okolicy były jesienią tego samego roku co napis na niebie. Pamiętam, jak pewnego dnia, gdy już było po zachodzie słońca, gdy kończył się dzień i zapadał powoli zmrok, moja rodzina i ja sama również oraz wszyscy sąsiedzi z naszej kolonii zobaczyliśmy na niebie: „*Duży słup ognisty!*” Spróbuję go teraz opisać tak jak go zapamiętałam: „*To był bardzo dobrze widoczny, ciemno czerwony, po prostu ognisty słup w kształcie długiego, grubego prostokąta, wyglądał jak belka w stodole, z tym że bardzo krwista. Ten słup świecił bardzo wyraźnie na tle czarnego*

nieba. Słup był pionowy i tkwił w miejscu, nie przemieszczał się, pokazał się ale nie spalał. Ten słup ukazał się w innym miejscu niż wcześniejszy napis, całkiem innym. Dziś nie pamiętam, czy słup łączył się z ziemią.



A oto i wybrana przez Opatrzność Bożą, jakże doświadczona przez los, polska rodzina Czerwieńców: Magdalena i Kazimierz Czerwieńcy oraz ich dzieci: Maria, Stanisław, wśród nich mała Kazimiera. (zdjęcie z prywat. zbiorów pani Kazimiery Kowalczyk z d. Czerwieńcy)

Pamiętam, że ten słup trwał na niebie około 10 minut od momentu kiedy ja go zobaczyłam. Mogę powiedzieć z całym przekonaniem i wiarą, że zarówno wcześniejszy napis na niebie złożony z dwóch linijek, a potem ten krwisty słup, to nie było złudzenie, ja widziałam to naprawdę!” Poza tym znak ten oglądała cała moja rodzina oraz wielu ludzi z naszej wioski, słyszałam na przykład rozmowy, podczas których nasi niektórzy sąsiedzi pytani w tej sprawie, zapewniali nas że także wyraźnie widzieli ten krwisty słup na niebie. Jestem dla przykładu prawie pewna, że widziała to rodzina Mischczaków.

Pamiętam, że niedługo później po tym słupie, na niebie znów ukazał się kolejny, niezwykle znak. To było tak: kiedy dzień się kończył i robiło się już ciemno, zapadał zmrok a ja byłam w domu, nagle usłyszałam, jak woła nas nasza mama Magdalena tymi słowami: „Chodźcie prędko dzieci, chodźcie! Zobaczcie, znowu znak nie niebie się pojawił!” Wybiegłam zaraz z domu wraz z całą moją rodziną i pobiegłyśmy do naszej mamy, która właśnie była w naszym ogrodzie, tuż obok domu i robiła chyba w truskawkach. Gdy spojrzałam w niebo zobaczyłam na własne oczy ten znak, wyglądał następująco: **„To był duży, czerwony sierp, w środku niego znajdował się również czerwony młot! Można spokojnie powiedzieć: po prostu znany powszechnie symbol jeszcze, nie dawno istniejącego Związku Radzieckiego!”** Chcę podkreślić, że ten znak był bardzo dobrze widoczny i znajdował się na niebie około 10 minut, od momentu kiedy go zobaczyłem.” Moja mama medytowała wtedy i załamując ręce mówiła tak: „Co to teraz z nami będzie, te znaki które się pokazują na niebie, zapowiadają coś niedobrego! To będzie jakiś wojna!” Ale właściwie nikt z nas tak naprawdę do końca nie wiedział, co miał oznaczać z zamiśle samego Boga, owy znak sierpa i młota na niebie.

Mniej więcej w tym samym czasie, w każdym razie jeszcze przed rzezią w naszej kolonii Karczunek Wołyński, na niebie ukazała się: „Duża miotła ognista z różek!” Pamiętam, jak ktoś mi wtedy powiedział, że znów pokazał się jakiś „znak” na niebie. Natychmiast ja i inni z mojej rodziny pobiegliśmy do naszego ogrodu i rzeczywiście na własne oczy zobaczyliśmy: **„To była miotła z ognia, ale nie tak krwistego, jak poprzedni słup, była jaśniejsza!”** Pamiętam, że mama powiedziała wtedy do nas wszystkich tak: **„Módlcie się dzieci bo ta miotła nas wszystkich wymiecie! To już będzie nam koniec, to bardzo niedobry znak!”** Wygląd tej miotły był następujący: „Szeroka u góry, zwieriała się do dołu, by na końcu być już wąska, nie miała jednak drewnianego trzonka. To była po prostu typowa miotła zrobiona z różek brzoźowych. Chcę podkreślić, że różgi widziałam bardzo wyraźnie!” Widziałam tę miotłę około 5 minut, a potem nagle znikła bez śladu, jej żywy obraz wyrzył się jednak na długo w naszych kresowych sercach.

ZNAK TRAWIĄCEGO OGNIA

Był jeszcze jeden niezwykle znak szybkimi krokami zbliżającej się tragedii do naszej kolonii, naszych domów i naszych rodzin. W niedługi czas po opisanych wyżej znakach, znów późnym wieczorem, na dworze było już ciemno, moi rodzice zauważyli, że wybuchł pożar w gospodarstwie mojej cioci Anieli Wenena i jej męża Ignacego. Osobiście tego nie widziałam, ale znam tę sprawę od moich rodziców, którzy wielokrotnie opowiadali o tym, także mi osobiście, ponieważ bardzo głęboko przejęli się tym kolejnym znakiem z Nieba. Potem opowiadali mi więc tak: „Widzieliśmy, że bardzo pali się „zagatka” – ściany domu mieszkalnego obłożone grubą warstwą suchej słomy bądź liści i usztywnione deskami i kołkami. Natychmiast wszczeliśmy głośny alarm wśród najbliższych sąsiadów i jak mogliśmy najszybciej pobiegliśmy w stronę płonącego domu, aby ratować ludzi i budynek. Baliśmy się, że wujek i ciocia nic jeszcze nie wiedzą, o grożącym im niebezpieczeństwie! Usneli bowiem pierwszym, twardym snem i mogą nie zdążyć opuścić mieszkania i tak zginą! Gdy tak pędziliśmy z wiaderkami, byliśmy już w połowie drogi do nich, (trzeba było przebiec na przelaj, przez pola około 500 metrów) nagle, dosłownie nagle ogień zginął, zapadł się pod ziemię, a wszystko wróciło do normalnego porządku! A my przejęci, właściwie przerażeni tak niezwykle zjawiskiem, wróciliśmy wszyscy do swoich domów.” Czuję się w obowiązku